

Tadeusz Sikorski

Ksiądz Józef Tischner (1931–2000) : góralski kapelusz na trumnie : garść refleksji

Łódzkie Studia Teologiczne 9, 347-350

2000

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KSIĄDZ JÓZEF TISCHNER (1931–2000)
GÓRALSKI KAPELUSZ NA TRUMNIE
GARŚĆ REFLEKSJI

Według nietrafnych na szczęście przewidywań sprzed szeregu już lat miał zostać biskupem, być może nawet prymasem Polski. Na jego trumnie byłaby dzisiaj mitra. Biskupem jednak nie został.

Zwyczaj nakazuje, żeby na trumnie zmarłego księdza kłaść biret. I chociaż zmarł ksiądz, ktoś na trumnę położył góralski kapelusz. Bo umarł prawdziwy góral z krwi i kości, nie wypadało, żeby na Sądzie Bożym zjawił się z odkrytą głową. Co bowiem mógłby tam powiedzieć, gdyby go zapytali, ktoś ty? Ksiądz Tischner nad tym właśnie kiedyś się zastanawiał. I radził, żeby wtedy nie odpowiadać dumnie, że przyszedł profesor, dziennikarz czy znany uczony. Gdy na Sądzie Bożym zapytają, ktoś ty, trzeba jedno tylko powiedzieć – „jo”.

Może to była najmądrzejsza rada, jaką ks. Tischner dawał kiedyś nie samym góralom, a którą dziś każdy z nas powinien sobie przypomnieć, gdy się zastanawia nad swoją ostatnią chwilą. Wszelkie godności, mitry i birety nikomu na Sądzie na nic się nie zdadzą. Tam jest tylko potrzebne to jedno słowo – „jo”. Panu Bogu ono wystarczy, żeby mógł w odpowiedzi okazać się miłosiernym Ojcem.

*

* *

Nigdy, nawet w najmniejszym stopniu nie uważałem się za człowieka znającego myśl ks. Tischnera. Owszem, kupowałem wszystkie jego książki, z prawdziwą łapczywością pożerałem każdy jego felieton w „Tygodniku Powszechnym”, nie opuściłem żadnego artykułu, gdziekolwiek na taki natrafiłem. I choć nie potrafię należycie ocenić ich wartości, do jednej zwłaszcza książeczki przywarłem najsilniej. Jest to zbiór konferencji i nauk rekolekcyjnych, jakie ks. Tischner wygłaszał przed laty w kościele Sióstr Klarysek w Starym Sączu, w kościele św. Anny w Krakowie oraz w katedrze oliwskiej. Tę książeczkę od tytułu jednego z jej rozdziałów nazwano *Miłość niemilowana*. W Miłości Boga do świata ks. Tischner widział wszystko, co można sensownie powiedzieć o Bogu. I w niemilowaniu tej Miłości przez ludzi upatrywał największy problem świata. To był chyba cały Tischner.

Z tą książeczką od dawna chodziłem na zajęcia w Seminarium Duchownym i studentom ostatniego roku, już diakonom, przygotowującym się do posługi spowiedników, nie miałem nic innego powiedzenia ponad to, co podpowiadał mi Tischner, gdy mówił o odpuszczeniu grzechów, o dojrzeniu do miłości, o wolności i posłuszeństwie, o dialogu jako sposobie obecności w świecie. Moi słuchacze na pamięć przyswajali sobie słowa Tischnera, który z uwielbieniem wspominał biskupa Jana Pietraszkę: „Każdy z nas ma obok siebie Boga, który jest Bogiem chwili obecnej. Boga, o którym tak mądrze i głęboko powiedział biskup Jan, że przychodzi do człowieka z miednicą pełną czystej wody, pochyla się, aby mu obmyć nogi z wszelkiego brudu” (s. 83).

Dziś, gdy Tischnera nie ma już wśród nas, tę książeczkę położyłem na swoim biurku, jak ktoś położył kapelusz góralski na jego trumnie, by zacząć myśleć o wykładach, jakie być może przyjdzie mi jeszcze po wakacjach na nowo podjąć przed studentami ostatniego roku w łódzkim Seminarium Duchownym.

*
* *

Mimo wszystko dzieje się dziwnie. Ostatnimi czasy rozpoczynam wakacje od przyjmowania napływających wiadomości pogrzebowych. W początkach lipca 1998 r. doszła do mnie wiadomość, że zmarł o. Barnhard Häring, ów, jak go nazwano „maestro di morale e profeta di libertà”. Ojciec Häring, tak jak ks. Tischner, zmarł na raka krtani. Miał już 86 lat, ks. Tischner o wiele mniej – 69.

Wtedy, w lipcu 98 pisałem właśnie dysputę z ks. prof. Olejnikiem w związku z jego intencją wydania skróconej postaci swojego kilkutomowego podręcznika teologii moralnej. Między ks. prof. Olejnikiem, seniorem polskich moralistów, a mną zawsze istniały duże kontrowersje. Dzielił nas w istocie Häring, któremu ja bezgranicznie ufałem, zwłaszcza za jego wręcz kultyczne odnoszenie się do wolności chrześcijańskiej, a do którego ks. prof. Olejnik odnosił się z rezerwą. Mój dość obszerny tekst na ten temat, *W sprawie wymownej ankiety*, ukazał się 7. tomie „Łódzkich Studiów Teologicznych”, s. 225–234.

Poważyłem się spierać w nim z ks. prof. Olejnikiem. Powodem sporu była właśnie wolność, której do dziś śmiem utrzymywać, ks. Olejnik odruchowo się lęka. Ksiądz Tischner natomiast był głosicielem i, rzekłbym, apostołem wolności. Ojciec Häring podobnie, swój drugi podręcznik teologii moralnej, *Frei in Christus*, związał przecież z wolnością.

Należę do pokolenia, które w chwili, gdy dojrzywało, całym swym jestestwem wyrwało się ku wolności. Ale do tej wolności go nie dopuszczono, przestrzegano je przed nią, a ono tym usilniej do niej tęskniło.

Ksiądz prof. Olejnik, człowiek dziś osiemdziesięcioletni, chyba nie zaznał w swym życiu zaurzeczności wolności. Nie zdołał poznać jej czaru i tej niepokonalnej tęsknoty do niej. W tym trzeba by domyślać się dramatu niejednych teologów, nie tylko ks. prof. Olejnika.

Księdza prof. Tischnera poznałem przede wszystkim jako chrześcijańskiego myśliciela zakochanego w wolności. Tak nawet bardzo, że w swoich zmaganiach z myślą filozoficzną ponad wszystkim widział, niczym gwiazdę przewodnią na niebie, Chrystusową Ewangelię wolności. Dlatego od razu przyłgnałem do Tischnera i do wszystkiego, co mówił i co pisał.

Zacząłem jednak tę część refleksji od uwagi, że ostatnimi czasy moje dni wakacyjne zaczynają mi się od wiadomości pogrzebowych. Te wiadomości nie tylko są związane z Tischnerem i ze wzmianką o o. Häringu. Stratę ks. Tischnera odczułem boleśnie również dlatego, że zbiegła się niemalże jednocześnie z tragiczną śmiercią ks. prof. A. Zuberbiera. Ksiądz Zuberbier wracał do siebie z Warszawy. Dwadzieścia kilometrów przed Kielcami jego samochód wpadł na przydrożne drzewo. Ksiądz Zuberbier zginął. Należał do teologów, którzy w latach powojennych jako pierwsi, wraz z uroczym ks. L. Kucem, zaszczipiali w Polsce nieznaną tu zupełnie myśl personalistyczną.

Personalizm E. Mouniera zakorzeniony w chrześcijańskiej wizji osoby i – jak powiedziałyby Häring – w wolności w Chrystusie miał niełatwą drogę do przebycia w polskich latach po drugiej wojnie światowej. Rozmiałowany był w nim Karol Wojtyła. Ale nikt przecież nie przewidywał wówczas, że rozmiałowany w człowieku Wojtyła może kiedyś zostać papieżem. Owszem, został rychło biskupem, później kardynałem, lecz od kapelusza kardynalskiego do Stolicy Apostolskiej droga jeszcze daleka. Personalistyczna jest też myśl ks. Tischnera, tak bliska zresztą myśli Jana Pawła II. Lubilem zbierać wiadomości o ich spotkaniach filozoficznych w czasie letnich wakacji w Castel Gandolfo. Jak te bratnie dusze filozofów dobrze się rozumiały! Chciałbym zobaczyć jakieś zdjęcie tych dwóch górali – Wojtyły i Tischnera – w góralskich strojach i z góralskimi nakryciami głowy.

*
* *

Najnowszy „Tygodnik Powszechny” (nr 29, 9 lipca 2000) prawie w całości poświęcony jest pamięci ks. Tischnera. Na pierwszej stronie pod wielkim zdjęciem Tischnera wstępującego na jakiś szczyt, jak gdyby z Łopusznej wspinał się do „niebieskich hal”, zamieszczono telegram Ojca Świętego do kard. F. Macharskiego, w którym Papież pisze o głębokim żalu, jaki go ogarnął na wieść o

śmierci ks. prof. Tischnera. „Głęboko odczuwam stratę tego Kapłana, który był człowiekiem Kościoła, zawsze zatroskanym o to, by w obronie prawdy nie stracić z oczu człowieka, którego Bóg wybrał, umiłował i odkupił, i który oczekuje zbawienia. Był obdarowany niezwykłym talentem obserwacji świata i życia. A wszystko, co dostrzegał, odnosił do Boga, który jest miłością. W tej perspektywie tworzył podwaliny do realizacji idei dialogu ze wszystkimi ludźmi dobrej woli, również z tymi, którzy nie zaznali łaski wiary”.

Ten cytat to dopiero trzecia część telegramu. Cały jego tekst byłby znakomitym powodem do jakże potrzebnego przypatrzenia się stosunkowi Papieża do osoby i dzieła ks. Tischnera. Zapewne także do zweryfikowania swojej własnej opinii o tym niezwykłym człowieku, który za życia spotkał się nie tylko z entuzjastami odważnej misji, jaką przez lata wiernie spełniał, ale i przeciwnikami, którzy nie szczędzili mu wyrazów niechęci i wręcz odwracali się od niego.

Owa niechęć i sprzeczny wobec Tischnera mógłby być przejaw normalnego skądinąd zjawiska. Wszelka działalność twórcza zawsze spotyka się z podobnymi reakcjami współczesnych. W tym jednak przypadku narzuca się nader smętna refleksja nad niepokojącym stanem duchowym ludzi, którzy po długich latach wydostali się z niewoli politycznej i częstokroć nie są zupełnie w stanie wyciągnąć rąk do ewangelicznego orędzia wolności. Przychodzi tu na myśl tom tekstów Tischnera zgromadzonych pod znamienym tytułem *W krainie schorowanej wyobraźni* (Kraków 1997).

Nie sposób tu przy okazji nie odnotować z głębokim smutkiem, że wbrew postawie Jana Pawła II niektóre środowiska eksponujące w Polsce swoje przywiązanie do wiary katolickiej, straty ks. Tischnera w ogóle nie zauważyły. Jak bowiem inaczej, jakim innym słowem określić chociażby fakt, że „Nasz Dziennik”, gazeta redagowana przez grupę katolickich dziennikarzy, powiadomiła swych odbiorców o śmierci ks. Tischnera w mikroskopijnej notce na 8 stronie pisma z 29 czerwca. Napisano: „Wczoraj w szpitalu w Krakowie w wieku 69 lat zmarł ks. profesor Józef Tischner. Od kilku lat cierpiał na raka krtani”. Tyle tylko ani słowa więcej. Zaledwie na te trzy linijki tekstu ks. prof. Tischner sobie zasłużył zdaniem redaktorów katolickiego dziennika, jak kiedyś gwarantowano po rozwiązaniu działalności „Słowa Powszechnego”, „Nasz Dziennik” miał się stać prawdziwą wreszcie gazetą informującą obiektywnie. Tymczasem jego notka o śmierci ks. Tischnera stawia czytelnika przed dojmującym pytaniem, czym jest w istocie informacja obiektywna.

Niedawno Ojciec Święty podczas trwającego w Watykanie 1–4 czerwca Jubileuszu Dziennikarzy przekonywał tych szczególnych pielgrzymów, że „można być autentycznym chrześcijaninem i świetnym dziennikarzem”. Zapewniał ich zarazem, że „świat »mediów« potrzebuje ludzi, którzy każdego dnia będą się starali jak najlepiej realizować w życiu ten podwójny wymiar” („L’Osservatore Romano” nr 7–8, 2000, s. 30). Notka „Naszego Dziennika” o śmierci ks. Tischnera jest w rażącej niezgodzie z tym słowem papieskim i w przykrym dysonansie z innym zdaniem Jana Pawła II z jego telegramu do kard. Macharskiego: „Stworzył [Tischner] duchowe podstawy etyki solidarności, która dziś nadaje kierunek trudnym zmaganiom narodu polskiego o taki kształt demokracji, w której byłaby respektowana godność każdej osoby ludzkiej”.

Nie wiem, czy redaktorzy „Naszego Dziennika” uczestniczyli w pielgrzymce Jubileuszu Dziennikarzy w Rzymie. Ale nawet jeśli tam byli – a wypadło być – pewnie słów papieskich nie dosłyszeli, a przynajmniej nie uznali za właściwe, żeby je odnieść do siebie, do swojego jubileuszowego rachunku sumienia. Przecież wolno już dziś z kimś się nie zgadzać, wolno z nim polemizować, nawet po jego śmierci. Tę jednak śmierć wypadło odnotować jakimś tekstem, który by dowodził niezbicie, że jego autor jest „autentycznym chrześcijaninem i świetnym dziennikarzem”, zwłaszcza świeżo po dniach Jubileuszu Dziennikarzy. Przykro.

*

* *

Miałem niegdyś, w latach moich studiów seminaryjnych, niemałe kłopoty z filozofią. Owszem, zaliczałem wszystkie egzaminy, nawet zupełnie nieźle, ale filozofia, jakiej nas wtedy

uczono wydawała mi się przedmiotem nazbyt zagadkowym, by nie rzec wręcz zbyt trudnym. Długo nie potrafiłem odpowiedzieć sobie na pytanie, po co kandydata na księdza uczyć takiej, właśnie takiej filozofii. Chciałem filozofii jakiejś innej, ale nie wiedziałem jakiej i czy w ogóle inna filozofia może istnieć. Dopiero w wiele lat później, podczas dalszych studiów we Francji na dręczącą mnie kwestię znalazłem zaskakująco prostą odpowiedź. Dowiedziałem się bowiem, że w dziejach myśli filozoficznej w czasach nowożytnych nastąpił zwrot iście kopernikański, gdy myśliciele odwrócili się od „kosmosu” i skupili na człowieku. Tego właśnie przez lata szukałem. Nigdy wcześniej nie domyślałem się, że w swoich kłopotach z filozofią byłem przecież bardzo blisko tego odkrycia, rzeczy, o której nikt nigdy mi nie mówił.

Te błędne moje drogi mogą się dziś wydać naiwne. To wieloletnie dochodzenie do serca filozofii – aż dziecinne. Chyba jednak przesadzam. Bo jeśli to wszystko może się dziś wydać naiwne i dziecinne, nie wiem, dlaczego Tischner sprawiał tyle kłopotów wielu polskim myślicielom. Patrzę na jego *Filozofię dramatu*, na przykład na tę filozofię. Raz jeszcze wpatruję się w kartki tego blisko 300-stronicowego dzieła, które kiedyś mnie urzekło. Wydano je zrazu w nieocenionych paryskich *Editions du dialogue*, bo takich rzeczy, takich medytacji filozoficznych w tamtych polskich dniach politycznych jeszcze u nas się nie wydawało. Tego ongiś na próżno szukałem w Seminarium Duchownym, takiej filozofii, takiej filozofii dramatu.

„Pod naszymi stopami jest nasz świat – scena dramatu. Chodzimy po niej, widzimy ją i słyszymy oraz dotykamy jej rękami. Przedstawienia sceny mogą być różne [...]. Ale dla ludzi zaangażowanych w przeżywanie dramatu scena życia jest przede wszystkim płaszczyzną spotkań i rozstań, jest przestrzenią wolności, w której człowiek szuka sobie domu, chleba, Boga, i w której znajduje cmentarz” (Wstęp). Tak Tischner zaczynał swą filozofię dramatu. Za tym początkiem następują rozdziały o spotkaniu, o wzajemności, o błędzeniu w żywiole piękna, prawdy i dobra i o przestrzeni obcowania z drugim.

Czytam ponownie tę filozofię i wspominam swoich profesorów ze Strasburga. Tischner z nich nie czerpał. Odwoływał się do innych mistrzów i autorytetów. Ale oni wszyscy mieli odwagę wkroczyć do tej samej rzeki i choć płynęli w różnych łodziach, unosiła ich ta sama woda, której na imię człowiek. Oni wszyscy, jakkolwiek blisko czy daleko byli od siebie, pozostawali w środku czy w pobliżach Ewangelii.

Zupełnie nie pojmuję tych, którzy oddalali się od Tischnera i wyrzucali mu jego antropologię, politykę, jego ludzkie więzi i miłości. Wciąż gromadzę nowe dowody potwierdzające ich odległe miejsca od orędzia Dobrej Nowiny. I tak jak w dawnych moich latach nie mogłem pokochać filozofii, jakiej mnie uczono, dziś podobne kłopoty miewam z teologią, która tylko werbalnie wiąże się z *Vaticanium II*, w rzeczywistości jednak tęskni do dawnej epoki. Na tym polega nasz dzisiejszy dramat.

Pewnie „Tygodnik Powszechny” w numerze poświęconym Tischnerowi najtrafniej postąpił, umieszczając na pierwszej stronie zdjęcie Zmarłego idącego w górę, jakby do „niebieskich hal” i tę modlitewną prośbę, by „wstawiał się w naszych sprawach u Najwyższego tak po prostu, czyli po góralsku”. Wierzę głęboko, że Najwyższy od razu go rozpoznał po owym góralskim kapeluszu na trumnie. Tym bardziej, że gdy go zapytał, ktoś ty, on jak baba z Łopusznej niechybnie odpowiedział według swej dawnej rady – „jo”.

*
* *

Na koniec muszę pomarzyć: żeby w Łodzi ktoś wymyślił spotkanie, sympozjum czy kolokwium o Tischnerze. Spieszyc by jednak się trzeba, bo inni mogą nas wyprzedzić. Chyba że to, co Jan Paweł II napisał w telegramie po śmierci ks. Tischnera, że „był człowiekiem Kościoła, zawsze zatroskanym o to, by w obronie prawdy nie stracić z oczu człowieka” uznamy za rodzaj góralskiej kurtuazji papieskiej. Ale po co w takim razie Papież przytoczył w swym tekście żalobnym słowa samego Tischnera: „Kie pudziemy z tela, to nos będzie skoda / Po górach, dolinach płakać będzie woda?”

ks. Tadeusz Sikorski